

Karnawał, wołowina i lodowce (cz. I)

Lubelska Medyczna Wyprawa na Aconcagua'06

Tak wiele na stronach różnych
czasopism wielkich tekstów o niczym.
My też niewiele osiągnęliśmy.
Gdzież Aconcagua do Mount Everstu,
czy innych himalajskich olbrzymów.
A jednak, wyjazd w Andy obfitował w te
niezwykłe wydarzenia, które pozwalają
po latach poczuć smak prawdziwej
przygody, zrozumieć wiele najbardziej
podstawowych rzeczy i docenić
prawdziwą bliskość drugiego człowieka.
Dostarczył nam też bardzo cennych
doświadczeń, które będzie można
wykorzystać przy organizacji
kolejnych wypraw.

DR N. MED. PAWEŁ KRAWCZYK

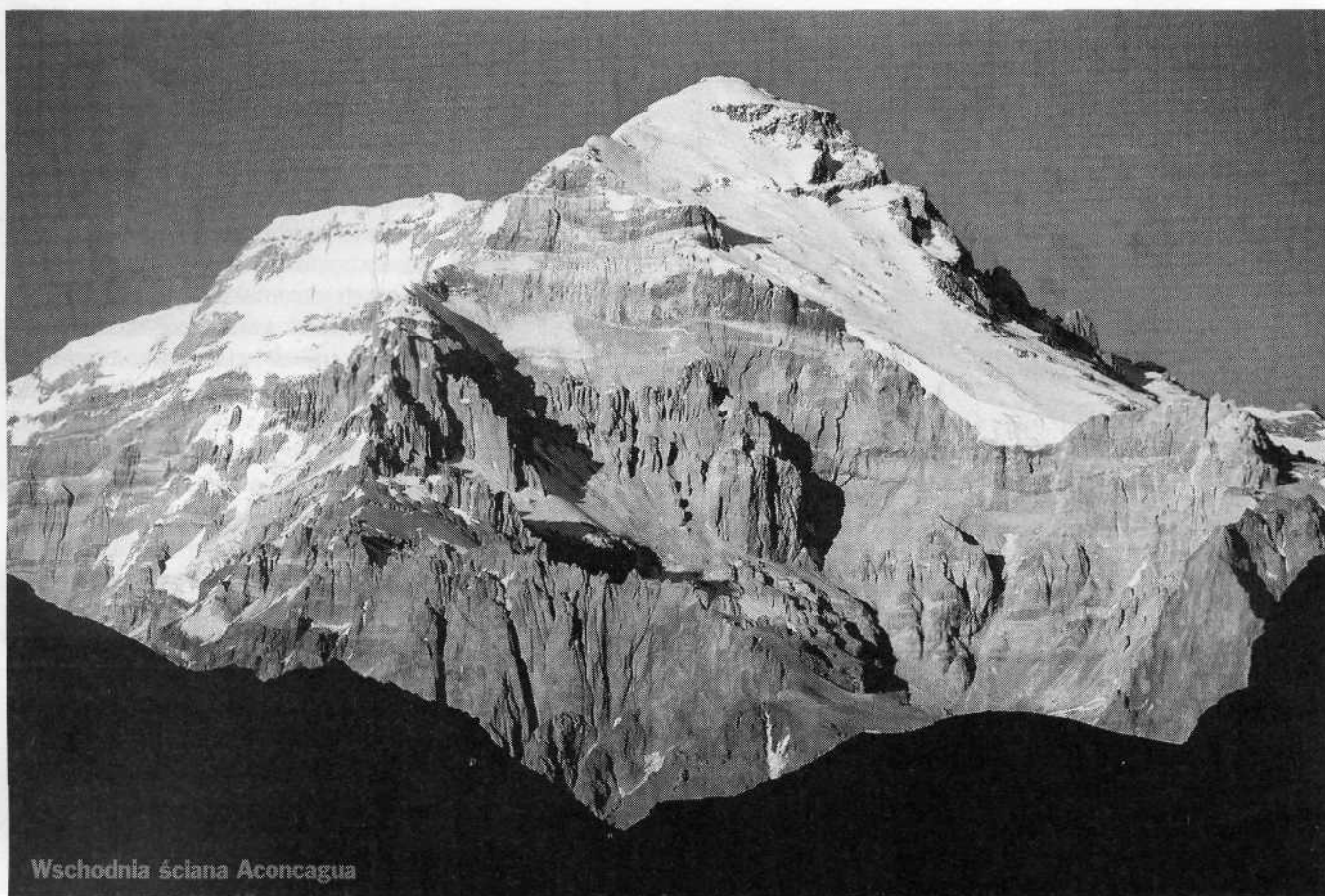
KATEDRA I KLINIKA
PNEUMONOLOGII, ONKOLOGII I ALERGOLOGII
AM W LUBLINIE

DR N. MED. PIOTR PAPRZYCKI

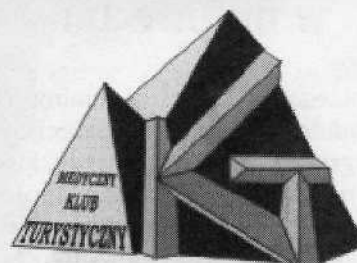
INSTYTUT MEDYCyny WSI
W LUBLINIE

Zdobywanie niezdobitych sześciotysięcznych szczytów w Himalajach jest naszym najbliższym celem. Wyprawa ma się rozpocząć w 2008 roku, ale już teraz możemy przy jej organizacji uczyć się na błędach popełnionych pod Aconcagua.

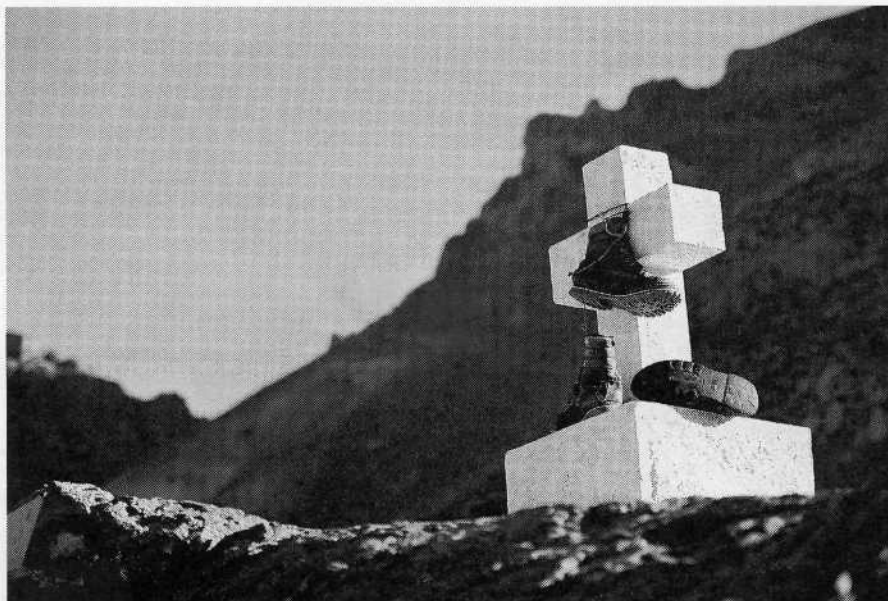
Lubelska Medyczna Wyprawa na Aconcagua od początku skazana była na liczne trudności. Medyczny Klub Turystyczny, który rozpoczął swoją działalność zaledwie kilkanaście miesięcy wcześniej, mógł poszczycić się organizacją kilku rowerowych rajdów na Ukrainę, kilku wspinaczkowych wyjazdów na Alpy i w skałki Jury Krakowsko-Częstochowskiej, ale nie wypraw w góry wysokie. Nic też dziwnego, że pomysł wspinaczki na Aconcagua zrodził najpierw zapal wielu członków MKT, którzy stopniowo gasł w obliczu narastających problemów finansowych, organizacyjnych, a może nawet kondycyjnych.



Wschodnia ściana Aconcagua



Pod koniec 2005 roku, kiedy doszło do podejmowania ostatecznych decyzji, dotyczących wyjazdu do Argentyny, zostało nas czworo: Kamila Wojaś, Piotr Paprzycki, Rafał Dmowski i ja, powołany nieopatrznie na kierownika całej wyprawy. Ale zanim przyszedł luty i upragniony dzień wyjazdu, musieliśmy zmierzyć się nieoczekiwanie z trudnościami natury tak medycznej jak i moralnej. Rafał Dmowski, który z nas wszystkich miał być może największą motywację do wyjazdu, zachorował na zapalenie płuc. Ale żeby zachorował na jakieś normalne pneumokokowe albo wirusowe zapalenie płuc. Rafał musiał zarazić się od dzieci, które leczył, *Mycoplasma Pneumoniae*. I niechby jeszcze to zakażenie



Na jednym z krzyży kołyszają się przywiązane za sznurówki dwie pary górskich butów bez właścicieli. To nieme ostrzeżenie działa na wyobraźnię silniej niż całe rozdziały w przewodnikach wspinaczkowych

przebiegało w sposób normalny. Nie. U Rafała wytworzyły się przeciwciała z grupy zimnych aglutynin, które w niskich temperaturach zlepiają krwinki czerwone, powodują anemię hemolityczną i grożą niewydolnością nerek. To najgorsza sytuacja, jaka mo-

że przytrafić się wspinaczowi, przebywającemu na dużej wysokości, gdzie prężność tlenu jest tak niska, że dochodzi do wzmożonej produkcji erytrocytów, a temperatura spada poniżej minus 20°C. Co robić? Rozsądek i całe konsylium lekarskie, które zebrało się

przy tej okazji, odpowiada jasno: nie jechać. Rafał decyduje inaczej.

Wyruszamy 29 stycznia 2006 roku, a trasa lotu prowadzi nas przez Paryż i Rzym do Buenos Aires. Jeszcze w Warszawie pojawiają się problemy z nadbagażem. Sprzęt wspinaczkowy i biwakowy upchnięty do olbrzymiej torby, nazywanej przez nas, ku pamięci naszych ukraińskich sąsiadów – *sumka*, przekracza wagą bagaż, który zwyczajowo przewozi się samolotami. Na szczęście zawsze znajdzie się ktoś, kto przymknie oko na kilkanaście kilogramów nadbagażu...

W Paryżu mamy dość czasu na krótką wizytę w Katedrze Notre Dame, bazylice Sacre Coeur i pod Wieżą Eiffla, a także na obowiązkowy spacer po Placu Pigale. W Buenos Aires lądujemy rano po 48 godzinach podróży. Zaskakuje nas podzwrotnikowy upał i raczej senna atmosfera stolicy tanga, wywołana porą sjesty. Nie zwlekając, ruszamy do Mendoza. Stąd blisko już w Andy.

Mendoza jest obowiązkowym przystankiem na trasie wszystkich turystów udających się w rejon Aconcagua. Obszar, który otacza wznoszący się na wysokość 6962 m. n.p.m. najwyższy szczyt obu Ameryk, objęty jest granicami parku narodowego. Wspinaczka na wierzchołek, a także trekking w rejonie Aconcagua, wymaga specjalnego, płatnego pozwolenia, które wydaje miejscowa agenda Ministerstwa Turystyki. W naszym przypadku przymusowy postój trwa dwa dni i wiąże się nie tylko z wykupieniem pozwolenia na zdobywanie szczytu, ale też z wynajęciem, za pośrednictwem licznych tutaj biur turystycznych, mułów, które będą transportować nasz sprzęt do bazy pod Aconcagua.

Autobus z Mendoza do Puente del Inca wiezie nas przez coraz bardziej pustyński, górski krajobraz drogą prowadzącą z Argentyny do Santiago de Chile i na chilijskie wybrzeże Oceanu Spokojnego. Szyby autobusu mają pęknięcia, przypominające ślady po pociskach. To pamiątka po spotkaniach z kamieniami obrywającymi się z nisko zawieszonych nad drogą skał. Trasa podróży prowadzi przez miasteczko Uspallata, które użyczyło plenerów do filmu „Siedem lat w Tybecie”. Nad porośniętymi trzciną i topolami kana-



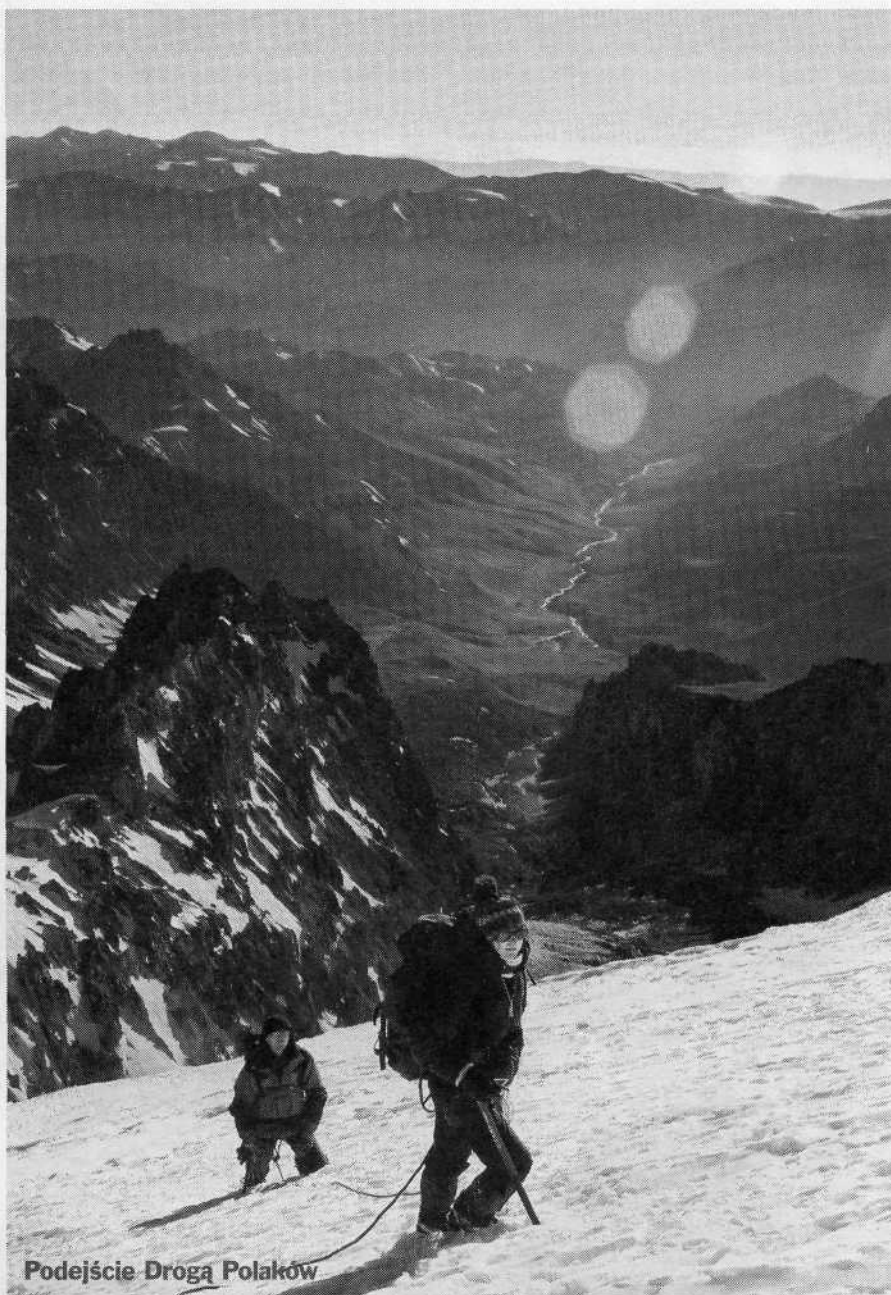
Muły z naszymi bagażem

łami melioracyjnymi bieleją śniegiem pierwsze andyjskie olbrzymy.

Nazwa *Puerta del Inca* pochodzi od naturalnego mostu skalnego, którego łukowate sklepienie rozciąga się nad rwącą rzeką i mineralnymi źródłami, zabarwiającymi skały na żółty i złoty kolor. Właśnie ze względu na lecznicze wody, jeszcze kilkadziesiąt lat temu Puerta del Inca była prawdziwym uzdrowiskiem. Dzisiaj przypomina opustoszałą osadę, w której wiatr przegania kurz i kule ostrokrzewu przez tory nieczynnej kolei trans-andyjskiej.

Puerta del Inca ożywa w sezonie wspinaczki na Aconcagua. Zatrzymują się tutaj wszyscy, którzy zamierzają podchodzić pod szczyt drogą klasyczną prowadzącą doliną Horcones, a także ci, którzy będą wspinać się na wierzchołek od strony doliny Vacas drogą wytyczoną przez Polaków w 1934 roku. Wtedy Konstanty Jodko-Narkiewicz, Stefan Daszyński, Stefan Osiecki i Witold Ostrowski, autor naszej obowiązkowej lektury „Wyżej niż kondory”, jako pierwsi Polacy stanęli na szczycie Aconcagua. Było to już ósme wejście na wierzchołek, zdobyty po raz pierwszy w 1896 roku przez Szwajcara Matthiasa Zurbriggena. Jednak Polacy wytyczyli na Aconcagua zupełnie nową, piękną i trudną drogę, prowadzącą wschodnią ścianą góry pokrytą stromym lodowcem o średnim nachyleniu 30-40 stopni. Wyczyn ten w takim stopniu zasługiwał na uznanie, że kilka lat później, na mapach regionu pojawiła się nazwa *El Ventisquero de los Polacos* (Lodowiec Polaków), funkcjonująca do dnia dzisiejszego.

Współcześnie Droga Polaków stała się jedną z klasycznych dróg prowadzących na szczyt Aconcagua. Jednak zmiany klimatyczne nie oszczędziły również lodowców andyjskich. Obecnie jedynie doświadczone i odpowiednio wyekwipowane zespoły i tylko w dogodnych warunkach pogodowych, decydują się na zdobywanie góry tą drogą. O tym, że góra potrafi być bezlitosna nawet dla najbardziej wytrawnych wspinaczy świadczy symboliczny cmentarz andynistów, zlokalizowany nieopodal Puerta del Inca. Na jednym z krzyży na wierzchołku skały kołysz się przywiązane za sznurówki

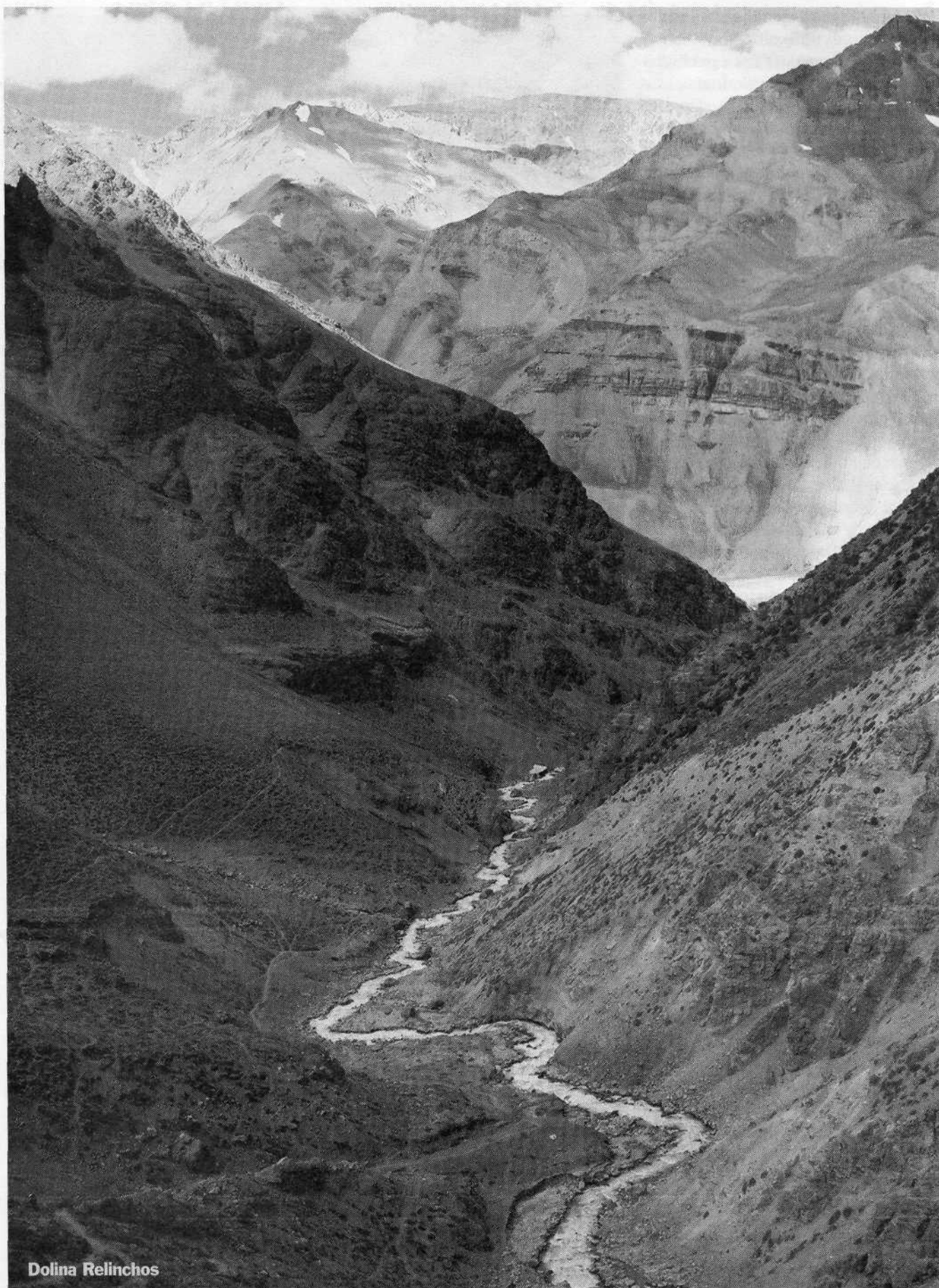


Podejście Drogą Polaków

dwie pary górskich butów bez właścieli. To nieme ostrzeżenie działa na wyobraźnię silniej niż całe rozdziały w przewodnikach wspinaczkowych.

Każdy kilogram bagażu musi być dokładnie zważony. Nasze dwa muły wezmą w sumie około 80 kg sprzętu. Niestety, mało w nim kalorycznej żywności.

**Wkładamy raki i wiążemy się liną.
Nareszcie czeka nas
prawdziwa wspinaczka w lodzie
po raz pierwszy w życiu
na wysokości ponad 6000 m n.p.m.**



Dolina Relinchos

ności, a dużo zimowego sprzętu wspinańcowego niezbędnego do pokonania Lodowca Polaków. Wchodzimy w Dolinę Vacas z nadzieją na zdobycie Aconcagua właśnie tą lodowcową drogą. Już po godzinie marszu znikają ostatnie topole i kanały nawadniające. Pozostają suche, kolczaste zarośla i gołe skały, na których wygrzewają się jaszczurki. Ścieżka prowadzi lewym brzegiem kotłującej się na kamieniach rzeki, burej od znoszonego skalnego miazgu. Pierwszy biwak zakładamy w Pampa de Lenas. Jest tutaj domek strażników Parku, którym należy okazać pozwolenia. Otrzymujemy także worki na śmieci, z których skrupulatnie, pod groźbą grzywny, trzeba będzie się rozliczyć po zejściu ze szczytu.

Zaraz za Pampa de Lenas ścieżka przekracza stalowym mostkiem Vacas i wspina się na wysoki brzeg rzeki. Pod koniec drugiego dnia podejścia pod Aconcagua schodzimy w szeroką dolinę wypełnioną warkoczowatymi rozlewiskami rzeki. Słońce pali skórę wysuszaną dodatkowo przez porywisty wiatr. Nie ma mowy o najmniejszym zachmurzeniu. Wilgotność powietrza w tym regionie nie przekracza nawet 5%. Choć ścieżka dłuży się w nieskończoność, coraz bliżej jest upragnionej nagrody. W Casa de Piedra, kolejnym miejscu biwakowym w Dolinie Vacas, otwiera się przed nami Dolina Relinchos z bajecznym i groźnym widokiem na Aconcagua. Lodowiec Polaków, wysoko pod wierzchołkiem, teraz wydaje się zupełnie nieosiągalny.

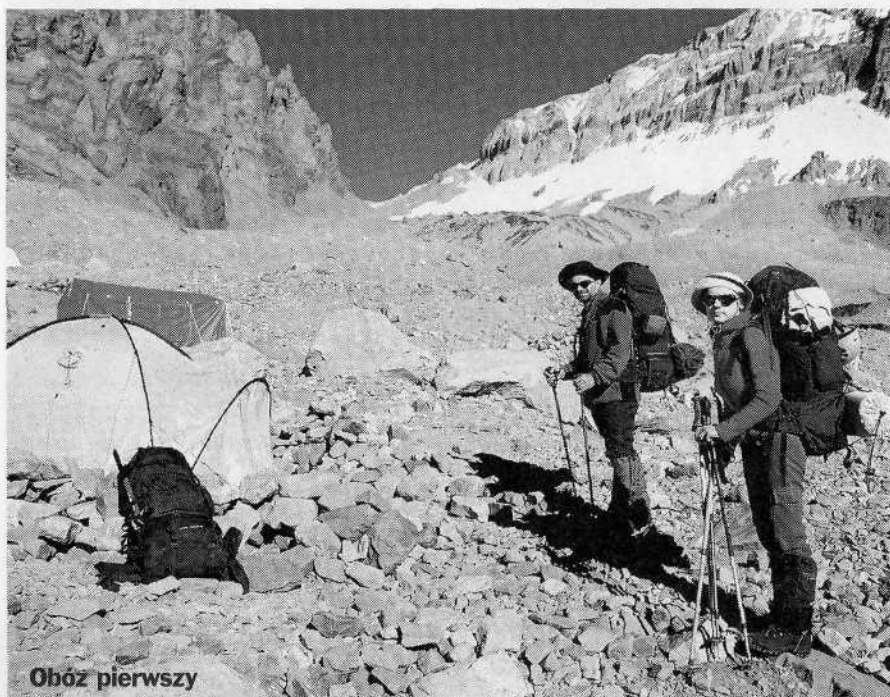
Trzeci dzień marszu rozpoczynamy od ryzykownej przeprawy przez rwącą Rio Vacas. Przy brzegu woda ścieka jest porannym przymrozkiem. Właśnie dlatego rzekę przekracza się o świcie. Mróz więzi wodę, którą niesie rzeka w swoim górnym biegu i jej poziom na wysokości Casa de Piedra znacznie się obniża. Mimo to trzeba dobrze zaplanować miejsce przekroczenia rzeki. Tam, gdzie jej rozlewiska są najbardziej szerokie, woda ma najslabszy prąd i sięga zaledwie powyżej kolan. Jednak nawet w tych miejscach jeden nieopatrzny krok może doprowadzić do przykrych w skutkach kąpieli. Przeprawa przez dolinę mającą w tym miejscu blisko 500 metrów szerokości

kości zajmuje nam prawie godzinę. Jest najbardziej stresująca dla Rafała, który musi zastanawiać się nad konsekwencjami ekspozycji na zimno w niedługim czasie po przebytej chorobie. Na szczęście wszystko kończy się szczęśliwie i po krótkim odpoczynku wchodzimy w głęboki, skalisty kanion Doliny Relinchos.

Tam, gdzie dolina rozszerza się i skaliste urwiska ustępują miejsca kwitnącym żółto halom, rozciąga się wpa-

dowane kamiennymi murkami, chroniącymi od wiatru i odbieramy nasz sprzęt transportowany aż do bazy przez muły. Baza ma stać się naszym domem na dwa tygodnie, które zamierzamy spędzić zdobywając naszą górę.

W bazie jest kilkadziesiąt platform pod małe namioty wyprawowe. Oprócz tego stoją tutaj duże namioty różnych agencji turystycznych, organizujących płatne wyprawy na Aconcagua. Pojawiają się nawet namioty z polską flagą,



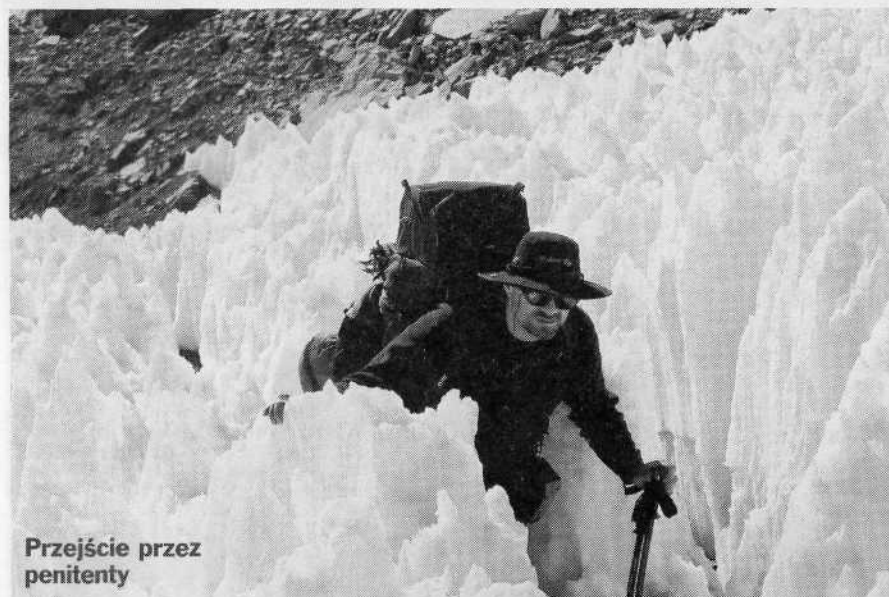
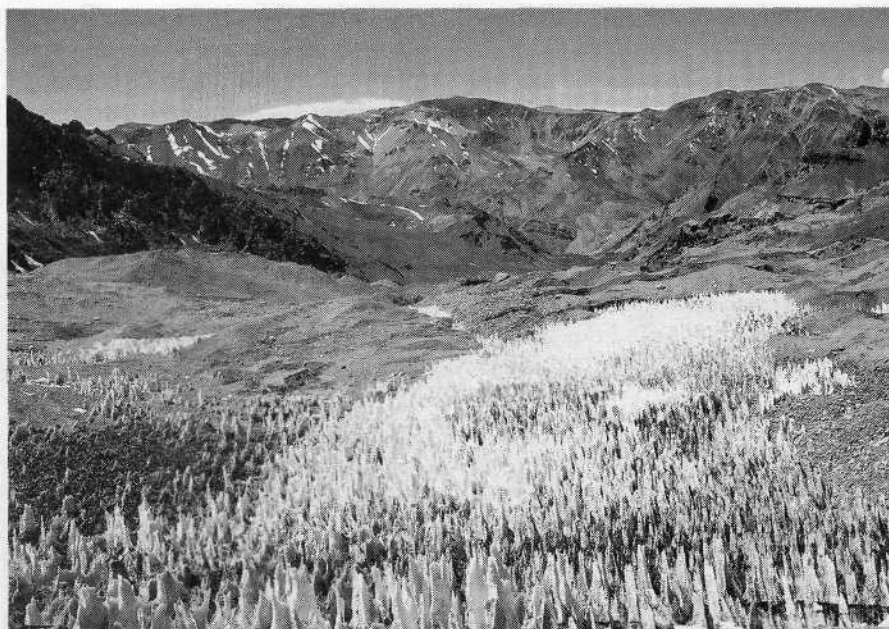
Obóz pierwszy

Gotowanie ma w górach coś ze sztuki, bynajmniej nie kulinarnej. Litr gorącej wody zdobyty dużym wysiłkiem i opłacony ryzykiem spalenia namiotu, posiada większą wartość, niż najlepsza potrawa podana w najdroższej restauracji.

niały widok na Aconcagua i sąsiedni Ameghino (5883 m n.p.m.). Kilka godzin marszu dzieli nas od Plaza Argentina (4200 m n.p.m.), rozległej, płaskiej przestrzeni położonej wśród moren lodowca, na której rozłożył się obóz bazowy pod Aconcagua. Tutaj znajdujemy miejsca na namioty zabu-

należące do komercyjnej wyprawy zorganizowanej przez Ryszarda Pawłowskiego. Jest także domek strażników Parku, u których musimy zarejestrować się i pobrać worki na odchody do wykorzystania w wyższych obozach.

Wysokość, na której zlokalizowana jest baza pod Aconcagua, odpowiada



wysokości lodowcowych szczytów alpejskich. Nasze organizmy zaczynają odczuwać spadek ciśnienia atmosferycznego i prężności tlenu we wdychanym powietrzu. Mimo to decydujemy się już następnego dnia założyć obóz pierwszy na wysokości 5000 m n.p.m.

Aconcagua należy do tych wielkich gór, które wymagają od ich zdobywców systematycznej aklimatyzacji. Nie wielu jest takich ludzi, którym żelazna kondycja pozwala zdobywać wierzchołek w stylu alpejskim bez zakładania obozów pośrednich. Tak zdobyli szczyt członkowie polskiej wyprawy w 1934 roku, co było zupełnie nowym wyczynem w historii eksploracji wysokich gór. Jednak większość zespołów

wspinających się na szczyt decyduje się na wahadłowe kursy pomiędzy bazą i dwoma obozami zlokalizowanymi na wysokości 5000 i 5900 m n.p.m.

Przewlekłe niedotlenienie organizmu, które w fachowej literaturze nosi nazwę *hipoksemii hipobarycznej*, powoduje najpierw uruchomienie mechanizmów adaptacyjnych organizmu, a następnie trwałe przystosowanie się do ekstremalnych warunków środowiska, czyli zjawiska aklimatyzacji. WzmóŜona produkcja hemoglobiny i zwiększenie liczby erytrocytów oraz przystosowanie całego organizmu do ciśnienia atmosferycznego spadającego poniżej wartości 400 hPa, umożliwia w pewnym stopniu egzystencję

na wysokości przekraczającej 6000 m n.p.m. Jednak wszystkie te mechanizmy przestają być wystarczające powyżej wysokości 7000 m n.p.m., kiedy ludzki organizm nie może się już regenerować, a wspinacz znajduje się w tzw. „strefie śmierci wysokogórskiej”.

Każda wysokość powyżej 4000 m n.p.m. staje się niebezpieczna dla osób podatnych na chorobę wysokościową lub tych, którzy zbyt szybko znaleźli się w tej strefie. *Puna* – andyjska nazwa tej przypadłości, najczęściej ma postać lekką, objawiającą się obездwładniającym osłabieniem, uczuciem braku powietrza, nietolerancją wysiłku, bólami i zawrotami głowy, nudnościami lub też zupełnym brakiem motywacji do podejmowania działania. Zdarzają się jednak przypadki ciężkiej choroby wysokościowej pod postacią obrzęku płuc lub mózgu. W takich sytuacjach życie może uratować jedynie natychmiastowe zejście w dolinę.

Puna będzie nieodłącznym elementem naszej wspinaczki powyżej Plaży Argentina. W drodze do obozu pierwszego, zaraz powyżej bazy, drogę zagradza nam stromy piarg. Usypujący się spod stóp skalny rumoszcz w niczym nie przypomina tatrzańskich stabilnych głazów. Trzeba wielkiego wysiłku, żeby z 25 kilogramowym plecakiem pełnym sprzętu biwakowego i wspinaczkowego walczyć nie tylko z usypiskiem, ale też z narastającą *puną*. Poniżej piargu, w dolinie potoku, rozciąga się pole *penitentów* – niebezpiecznie najeŜony las lodowych iglic, osiagających nawet 3 metry wysokości. Taka forma wietrzenia skały i powstawanie „ostańców” lodowcowych możliwa jest tylko w wysokich górach, w klimacie, w którym wilgotność powietrza jest minimalna, a wahania temperatury między nocą i dniem przekraczają nierzadko 50°C.

Wdrapujemy się z niemałym wysiłkiem na szczyt usypiska. Przed nami rozciąga się pofałdowany morenami lodowcowymi teren, którego zagłębienia wypełniają jeziora i rzeki lodowcowe. O tym, że znajdujemy się na lodowcu można przekonać się tylko w tych miejscach, gdzie woda oczyściła z kamiennego rumoszu powierzchnię lodu. Pozostała część lodowca „porastają” pola *penitentów*, które doda-

ją urzekającego wdzięku i ekspresji widokowi wierzchołka Aconcagua. Przed obozem pierwszym czeka nas jeszcze jeden stromy piarg. Ze względu na przykre doświadczenia z kamiennymi usypiskami zdobyte w innych górach, decyduję się podchodzić polem penitentów. Niestety, okazuje się to bardzo trudne i męczące. Plecak klinuje się w labiryncie wąskich przejść, a na głowę sypią się bryły lodu. W niektórych miejscach trzeba przedzierać się na wprost, łamiąc koronkową konstrukcję penitentów. Po godzinnej walce jestem 20 metrów poniżej reszty grupy, która od jakiegoś czasu odpoczywa w najlepsze po pokonaniu większej części piargu. Przydaje się rzucona przez Piotrkę lina, za pomocą której wydostaje się na małą platformę. Stąd już niedaleko do upragnionej „jedynki”. Po ośmiu godzinach walki na podejściu, na skalnym progu rozbijamy nasz namiot, czekając po każdym gwałtowniejszym ruchu, aż serce zwolni swój szaleńczy rytm i wystarczająca ilość powietrza dostanie się do płuc.

Nasza kondycja pozostawia wiele do życzenia. Wyprzedzają nas wszyscy, którzy wyszli z bazy po nas. Jest

wśród nich grupa argentyńczyków z Klubu Andino Mercedario z San Juan, którego jednym z założycieli w 1945 roku był Wiktor Ostrowski. Szef argentyńskiej grupy doskonale zna historię

**Nasza kondycja
pozostawia
wiele do
życzenia.
Wyprzedzają
nas wszyscy,
którzy wyszli
z bazy po nas**

polskiego andynisty, który po wojnie osiadł na stałe w Argentynie. Zaprzyjaźnieni z Argentyńczykami są Francuzi z sympatycznym Cedrikiem mieszkającym w San Juan, który na wyprawę w Andy zabral swojego teścia i jego kolegę. Ich rewelacyjna kondycja

nie ma nic wspólnego z dość zaawansowanym wiekiem. Dwóch młodych Słoweńców zamierza zdobywać Aconcagua trudną drogą prowadzącą prawym skrajem Lodowca Polaków. Od nich dowiadujemy się o ciężkich warunkach śniegowych panujących na lodowcu. W „jedynce” są też członkowie komercyjnych wypraw. W sumie w obozie przebywa około 50 osób.

Nasz mały namiotek z wielkim trudem mieści cztery osoby. Jest ciasno i bardzo duszno, ale za to ciepło, mimo że temperatura zaraz po zachodzie słońca nieubłaganie spada poniżej -10°C. Dlatego otwieramy namiot, a wtedy ukazują się niezwykle widoki. Pasma górskie o tej porze dnia rzuca na horyzont cień, w którym wyraźnie widać dominujący stożek Aconcagua.

Po ciężkiej nocy w obozie pierwszym rozpoczynamy odwrót do bazy. Zostawiamy duży depozyt i zsuwamy się po piargach w dół. Usypiska nie robią już takiego wrażenia, a droga powrotna zajmuje nam jedynie trzy godziny. W bazie czeka nas podjęcie decyzji o strategii zdobywania Aconcagua. Większość zespołów planuje dwa dwudniowe odpoczynki w obozie bazowym. Jeden po założeniu obozu



Podejście do obozu drugiego

Pozostaje jedno rozwiązanie – szybkie wejście na szczyt nieomal z zastosowaniem stylu alpejskiego. Od tego momentu cała akcja górską będzie miała coraz bardziej dramatyczny przebieg

pierwszego, a drugi po założeniu „dwójki”. Jesteśmy jednak w bardzo niekorzystnej sytuacji. Zapasy jedzenia kurczą się w sposób zastraszający, a liofilizaty, które miały stać się źródłem kalorii w wyższych obozach, nie tylko nie spełniają swojej funkcji, ale są też po prostu obrzydliwe w smaku.

Pozostaje jedno rozwiązanie – szybkie wejście na szczyt nieomal z zastosowaniem stylu alpejskiego. Od tego momentu cała akcja górską będzie miała coraz bardziej dramatyczny przebieg. Następnego dnia wracamy do „jedynek”, wyposażeni tym razem w do-

datkowy namiot. Nieco lżejsze plecaki i postępująca aklimatyzacja umożliwiają nam dotarcie do obozu w lepszej formie i w krótszym czasie. Niestety Piotrek skarży się na stały ból głowy, nieustępujący po lekach przeciwbólowych. Zaczyna zastanawiać się nad zejściem do bazy, żeby uniknąć niebezpiecznych konsekwencji choroby wysokościowej. Postanawia jednak zaczekać jeden dzień w obozie pierwszym.

W tym czasie zamierzamy dotrzeć do „dwójki” i zostawić tam wspinaczkowy depozyt. Ścieżka prowadzi tym

razem długimi trawersami po niezbyt stromych zboczach. Zaraz powyżej „jedynek” ukazuje się wspaniały widok na wschodnią ścianę Aconcagua i Lodowiec Polaków. W połowie wysokości wznosi się kolorowa skała Piedra Bander, miejsce rezerwowego biwaku na Drodze Polaków położonego na wysokości 6450 m n.p.m. Ściana wydaje się bliska na wyciągnięcie ręki i gdyby zastosować skalę wielkości przydatną w Alpach, byłaby taka w rzeczywistości. Niestety, na dużych wysokościach każdy krok okupiony jest podwójnym wysiłkiem. Dopiero po kilku godzinach podejścia stajemy na Przełęczy Ameghino (5380 m n.p.m.), a tylko siłą woli udaje się nam pokonać szeroką grań doprowadzającą do skalnego progu u podnóża Lodowca Polaków, na którym zlokalizowany jest obóz drugi (5900 m n.p.m.). Rejestrujemy raczej, niż podziwiamy, przepiękne widoki, które z grani i z obozu są wszechobecne. Penitenty na tej wysokości ustępują miejsca płatom śniegu i lodowcom i wszędzie jak okiem sięgnąć wznoszą się skaliste szczyty, których łagodne zbocza pokrywają ma-



Widok spod szczytu Aconcagua

sy lodu a strome ściany udekorowane są pajęczną śnieżnych żlebow. Na horyzoncie, ale zupełnie dobrze widoczna, pojawia się grupa górską Ramada i szczyt Mercedario zdobyty po raz pierwszy przez Polaków w 1934 roku.

Tylko dwóch godzin potrzebujemy na zbiegnięcie do obozu pierwszego. Zaczynamy rutynowe, ale nabierające tutaj wielkiego znaczenia czynności. Gotowanie ma w górach coś ze sztuki, bynajmniej nie kulinarnej. Litry gorącej wody zdobyty dużym wysiłkiem i opłacony ryzykiem spalenia namiotu, posiada większą wartość, niż najlepsza potrawa podana w najdroższej restauracji.

Piotrek podejmuje próbę dotarcia do „dwójki”. Powtarzamy wczorajszą mozolną wspinaczkę, ale tym razem wyposażeni w sprzęt biwakowy. W obozie drugim są już wszyscy nasi znajomi z „jedynek”. Okazuje się, że również oni przyjęli taktykę podobną do naszej. Mają jednak znacznie więcej prowiantu, a my posuwamy się nawet do zjedzenia herbatników i suszonych śliwek, pozostawiony przez poprzednie zespoły. Platformy pod namioty w obozie drugim nie są już tak komfortowe jak w „jedynce”. Kamienie i ziemia są zmrożone w nocy, a w południe pokrywa je śmierzące błoto. Nikt nie korzysta tutaj z worków otrzymanych w bazie i wkoło jest pełno fekaliiów. Natomiast woda dostępna jest tylko w dzień, gdy rozmarzną małe lodowcowe jeziora.

Wieczorem wyruszam z Rafałem na krótki rekonesans na lodowiec. Wkładamy raki i wiążemy się liną. Nareszcie czeka nas prawdziwa wspinaczka w lodzie po raz pierwszy w życiu na wysokości ponad 6000 m n.p.m. Podstawa lodowca nie jest bardzo uszczeliniona, jednak śnieg jest miejscami głęboki. Wypatrujemy w ścianie możliwość dotarcia do śnieżnej grani powyżej Piedra Bandera. Wracamy do obozu z odrobiną optymizmu. Następuje jednak przewidywane już wcześniej osłabienie zespołu. Piotrek nadal cierpi na punę i podejmuje decyzję o odwrocie. Będzie na nas czekał w bazie.

Jest 11 lutego. Od czwartej rano zaczynamy gotowanie. Każda czynność zabiera dwa razy więcej czasu niż w do-



linach, dlatego dopiero po piątej jesteśmy gotowi do wymarszu. Atakujemy szczyt. Mróz sięga -20°C. Jeszcze nie zdążyłem spakować plecaka i już tracę czucie w palcach. A jeszcze trzeba zapiąć raki. Gdy stajemy u podnóża naszej ściany, na wschodzie pojawia się luna świtu. Od razu i bez chwi-

linę Relinchos. Mimo to Piedra Bandera wcale nie jest bliższa. Pomału staje się bardzo prawdopodobne, że nie zdołamy zdobyć szczytu Drogą Polaków nie narażając się na dodatkowy biwak, który w naszej sytuacji jest całkowicie niemożliwy. Rozmawiamy, o ile można logicznie rozmawiać na

Każda wysokość powyżej 4000 m n.p.m. staje się niebezpieczna dla osób podatnych na chorobę wysokościową lub tych, którzy zbyt szybko znaleźli się w tej strefie

li przerwy śnieżny stok staje się stromy. Miejscami jego nachylenie sięga 40 stopni. Cały czas prowadzę, torując drogę w śniegu, który miejscami sięga kolan. Tam gdzie śnieg przybiera niebieskawą odcień, staję na warstwie twardego lodu, o który zgrzytając zęby raków. Słońce zdążyło już ogrzać powietrze i robi się nawet gorąco, co dodatkowo pogarsza warunki śniegowe. Jesteśmy już powyżej wszystkich otaczających szczytów, a daleko w dole pomiędzy olbrzymimi serakami lodowca ograniczającymi jego lewy skraj, widać ciepłą i suchą Do-

tej wysokości w oddaleniu, na które pozwala łącząca nas liną. Kamila chce spróbować dotrzeć do skały. Ja chcę wracać, z myślą o zaoszczędzeniu sił na wspinaczkę Fałszywą Drogą Polaków, która trawersuje skalny stok powyżej naszego obozu i łączy się z drogą klasyczną. Rafał nie ma zdania. W rezultacie podejmujemy decyzję o odwrocie.

O ile ta decyzja była najpewniej słuszną, to następna jest zupełnie chybiła. Niestety, namawiam pozostałych na próbę wejścia na szczyt Fałszywą Drogą Polaków jeszcze tego samego

dnia. Z powodu braku jedzenia chcemy jak najszybciej wrócić do bazy. Daje o sobie znać zmęczenie i głód. Wczesnym popołudniem docieramy do miejsca, w którym nasz trawers łączy się z drogą klasyczną. Jest już jednak zbyt późno, żeby zdobyć wierzchołek. Podajemy drugą decyzję o odwrocie.

W dwójkę nie ma już Piotrkę, który zszedł z jednym namiotem do bazy. Kilka godzin później wracają ze szczytu strasznie zmęczeni, ale szczę-

W drodze do ruin Schronu Independencia (6400 m n.p.m.), cały czas mówię do Kamili, żeby odciągnąć jej myśli od braku jedzenia i ogromnego zmęczenia. Powtarzam jej buddyjską mantrę, która pomaga mi regulować oddech. Wdech i krok, wydech i krok. Tym sposobem dochodzimy do grani, z której widać niezbyt długi trawers biegnący do podnóża Żlebu Canaletta. Wydaje się, że mamy wielkie szanse na zdobycie szczytu.

Wszyscy powtarzają, że do szczytu pozostaje około czterech godzin marszu. Jest godzina czternasta. Biorąc pod uwagę nasze wolne tempo, mamy znikome szanse na dotarcie do wierzchołka przed zachodem słońca. Droga w padającym śniegu i po zmroku może nie być już tak oczywista i łatwa. Poza tym, trudności obiektywne w żaden sposób nie przekładają się na trudności wynikające ze zmęczenia, głodu, pragnienia i wysokości, które potrafią spowo-

**Szczyt Aconcagua!
Godzina 17.00 –
to był ostatni moment
na wejście**



śliwi Francuzi. Mówią o złej pogodzie w rejonie wierzchołka. Cały atak szczytowy zajął im ponad 12 godzin.

Jest 12 lutego. Ostatnia szansa na zdobycie Aconcagua. Wstajemy zbyt późno i wyruszamy trawersem około godziny 7. Początkowo niezłe tempo spada, gdy kończą się zapasy energii z kiepskiego śniadania. Muszę pomóc Kamili wynieść plecak do miejsca, w którym wchodzimy na drogę klasyczną. Po chwili dociera do nas Rafał. Jemy resztki naszych zapasów – liofilizowany serek homogenizowany z garścią suszonych owoców. Taka porcja dostarcza organizmowi jakieś 100 kcal.

Niestety, w górach niczego nie można przewidzieć. Pogoda – niezmienna przez ostatnie dni – zaczyna się psuć. Niewielki mróz, znaczny opad śniegu i zachmurzenie, powodujące niemal całkowity brak widoczności stawiają pod znakiem zapytania szansę pokonania Żlebu Canaletta. Ten stromy, wypełniony piargiem kuluar może być groźny w chwili, gdy we mgle zboczy się z najłatwiejszej jego prawej strony lub spod nóg spadnie kamienna lawina. Spotykamy wielu wspinaczy schodzących z wierzchołka. Jest wśród nich duża grupa Polaków z komercyjnej wyprawy idącej drogą klasyczną.

dować wypadek nawet w łatwym terenie albo zakłócić nasze racjonalne myślenie. Kolejna decyzja musi zostać podjęta. I tym razem wybieram za pozostałą dwójkę. Ja idę na szczyt, Kamila i Rafał mają schodzić powoli do obozu drugiego.

Na pewno wszystkie wymienione obiektywne przeciwwskazania do zdobywania szczytu całym zespołem miały swoją subiektywną przeciwwagę, w postaci mojej egoistycznej chęci wejścia na Aconcagua. Sam miałem dużą szansę zdążyć przed nocą. Jeśli poruszałibyśmy się we trójkę, szanse dramatycznie malały.

Ich reakcją jest zaskoczenie. Kami-
la daje mi resztkę suszonych owoców
i czekolady. Idę szybciej do wylotu źle-
bu, a potem podchodzę do skał w bocz-
nej grani spadającej z wierzchołka
Aconcagua. Rozpogadza się trochę i wi-
dzę, że pozostała dwójka podeszła jesz-
cze kilkaset metrów, nie chcąc pogo-
dzić się z utratą możliwości zdobycia
szczytu po tylu wyrzeczeniach i prze-

**Aconcagua
należy do tych
wielkich gór,
które wymagają
od ich
zdobywców
systematycznej
aklimatyzacji.
Niewielu jest
takich ludzi,
którym żelazna
kondycja
pozwala
zdobywać
wierzchołek
w stylu
alpejskim bez
zakładania
obozów
pośrednich**

byciu tak dalekiej drogi. Jednak teraz
już za późno na weryfikację decyzji,
nawet jeśli była błędna. Na szczęście
tam na dole jest nadal kilkunastu Po-
laków, którzy przekonują Kamilę i Ra-
fała o konieczności powrotu do obozu.

Wychodzę na grani szczytowej. Wą-
ska ścieżka z ubitego śniegu przecho-
dzi nad ciemną otchłanią Żlebu Ca-
naletta. Zakładam raki. W nich tra-

wers nie jest trudny, ale wystarczy je-
den błędny ruch spowodowany wyso-
kością i można znaleźć się kilkaset
metrów niżej. Później odslania się na
kilkanaście sekund górna część słyn-
nej Południowej Ściany Aconcagua,
na której wspinał się Reinhold Mes-
sner i Wanda Rutkiewicz. To groźne
urwisko skalno-lodowe ma wysokość
ponad dwóch kilometrów. Przede mną
wznosi się kopuła szczytowa. Jestem
prawie u celu, a jednak zastanawiam
się, czy nie zawrócić. Zostawiam ple-
cak. Teraz każdy krok to ogromny wy-
silek. Pokonuję kilka głązów i naresz-
cie znajduję się na płaskiej platfor-

o maskotce żyrafy, którą Piotrek do-
stał na czas trwania wyprawy od cór-
ki, a potem przekazał mi, żebym wniósł
ją na szczyt. Korzystając z chwili roz-
pogodzenia wyciągam ją z plecaka i ro-
bię zdjęcie. Wtedy uświadamiam so-
bie, że jednak to zrobiłem. Wszedłem
na Aconcagua.

Tuż po zachodzie słońca docieram
do obozu drugiego. Najpierw spoty-
kam Słoweńców, czekających na mnie
z gratulacjami i z gorącą herbatą. Jej
smaku nigdy nie zapomnę. Oni też wy-
cofali się z Lodowca Polaków. Nastro-
je reszty mojej ekipy są minorowe.
Niestety, jestem za to odpowiedzial-



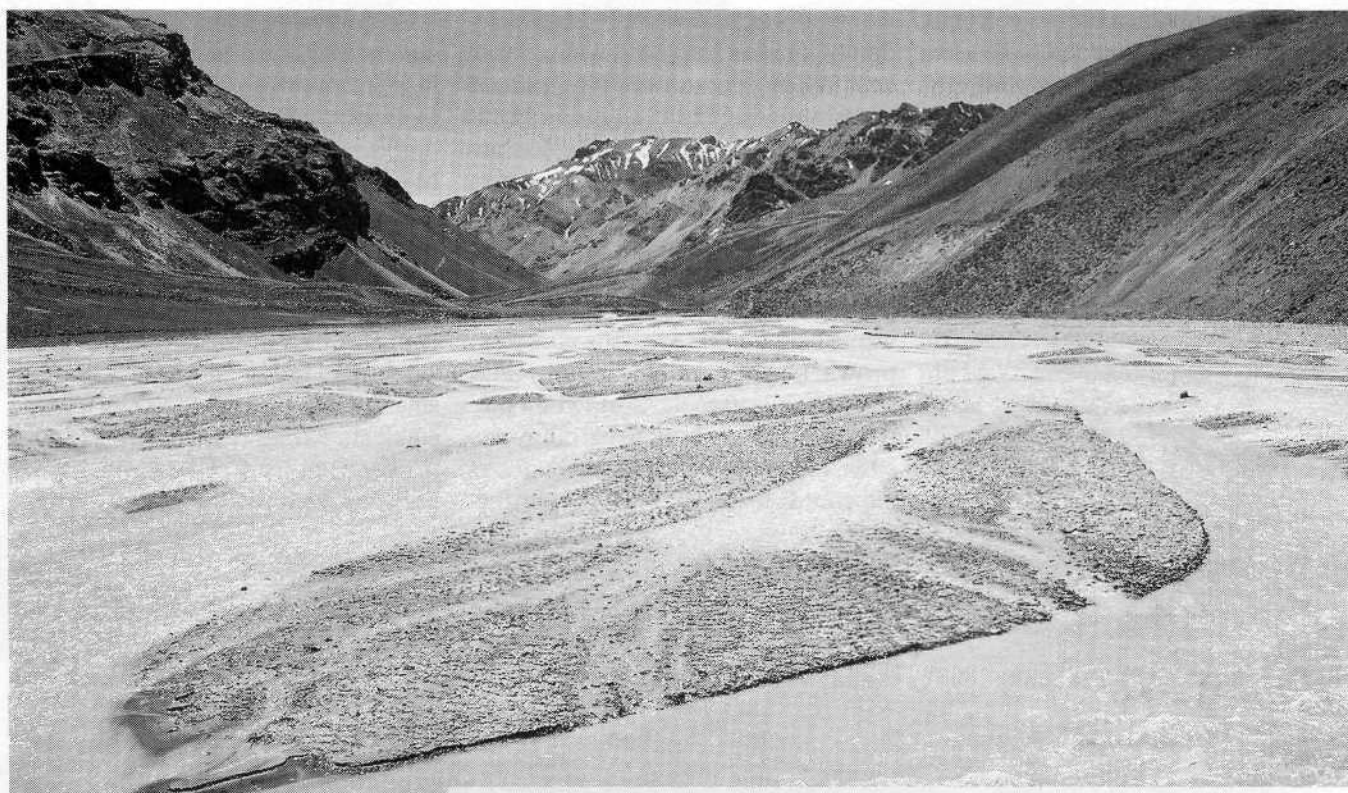
Pożegnanie z bazą

mie wierzchołka Aconcagua. Widocz-
ność jest zerowa, a szczyt poznaję po
ruchomym krzyżu, tkwiącym tu od lat
w kamiennym zagłębieniu. Na krzy-
żu są polskie proporczyki, a tuż przede
mną na szczyt wszedł również samot-
nie inny Polak. Jestem za bardzo zmę-
czony na wzruszenie. Poza tym troje
Argentyńczyków, będących wyraźnie
w lepszej formie od nas, chce nas eskor-
tować w dół i nie pozwala na długi po-
byt na wierzchołku. Na szczycie nie je-
stem nawet pięciu minut. Jest godzi-
na siedemnasta. To był ostatni mo-
ment na wejście na Aconcagua. Za
chwilę przyjdzie noc, a z nią mróz i
wiatr. Schodzimy.

Na wzruszenie przyszedł czas w Żle-
bie Canaletta. Przypomniałem sobie

ny. Brak jedzenia nie jest już tak do-
kuczliwy, bo zmęczenie skutecznie za-
głuszyło głód. Problemem dla mnie
jest jednak brak wody. W nocy nie czu-
ję się najlepiej i próbuję nad palni-
kiem rozmrozić znaną wieczorem
pomarańczę. Udać mi się tylko czę-
ściowo, co umożliwia zdjęcie z niej
skórki. Resztę zjadam mimo chrząsz-
czącego w zębach lodu.

Góra każe sobie płacić wysoką ce-
nę za prawo jej zdobywania. Rano po
zwinięciu obozu i zrobieniu pierw-
szych paru kroków, przewracam się
przygnieciony plecakiem. Coś chrup-
nęło w mojej prawej kostce. Na szczę-
ście mogę iść, ale noga napuchła i bę-
dzie boleć jeszcze przez wiele tygodni.
Proszę Rafała, żeby szedł szybciej do



Dolina Río Vacas, przeprawa

bazy i poprosił Piotrkę o pomoc. Razem z Kamilą posuwamy się wolno w dół. Największym problemem jest dla mnie przekraczanie lodowcowych potoków. Ponieważ nie mogę skakać, schodzę za każdym razem na ich dno. Teraz oprócz grubej warstwy andyjskiego kurzu pokryty jestem warstwą błota. Poniżej „jedyńki” spotykamy Piotrkę, który mówi tylko: *dobrze was widzieć*. Oddaję mu plecak i nieco przyspieszam znieczulony środkami przeciwbólowymi. Bazę osiągamy po ośmiu godzinach zejścia.

Baza wydaje się luksusowym hotelem po pobycie w wyższych obozach. Fundujemy sobie w pełni zasłużony obiad w postaci połędwicy wołowej za horrendalną cenę 20 dolarów. Opałają emocje i do głosu dochodzi zwykłe, ludzkie zmęczenie, którego nie dopuszczaliśmy do świadomości przez 10 dni górskiej działalności. To tylko chwila przerwy w podróży. Przed nami trzy dni zejścia w doliny.

Sprzedajemy część ciężkiego sprzętu wspinaczkowego, żeby odciążyć nasze plecaki w drodze powrotnej i kupujemy trochę jedzenia. Ze względów



Góra każe sobie płacić wysoką cenę za prawo jej zdobywania.

finansowych rezygnujemy z pomocy mulów i objuczamy się sami ciężarem zbliżającym się niebezpiecznie do wagi 30 kg. Już po kilku godzinach marszu widać, że jeden dzień odpoczynku w bazie nie był wystarczający, żeby zregenerować nadwątłone siły fi-

zyczne i psychiczne. Kamila upiera się, żeby schodzić wprost do Pampa de Lenas, mówiąc, że nie wytrzyma kolejnych trzech dni marszu z plecakiem. Jest coraz bardziej oczywiste, że Pampa de Lenas jest dla nas nieosiągalne jednego dnia, a mimo to na-

wet wieczorem nie zmienia zdania. Środki uspokajające tylko pogarszają sytuację, zwłaszcza w niebezpiecznym eksponowanym kanionie Relinchos. Ta przeprawa dodatkowo uszkadza moją i tak nadwężoną kostkę. Późnym wieczorem docieramy do Vacas. Po przeciwnej stronie doliny w Casa de Piedra widać już nasze namioty rozbite przez Piotra i Rafała. Niestety rzeka o tej porze dnia jest trudną przeszkodą do pokonania. Woda, chociaż znacznie cieplejsza niż rano, tworzy potężne rozlewiska. Tylko dużemu szczęściu zawdzięczamy bezpieczne jej przekroczenie.

Następny dzień nie przynosi nic nieoczekiwanego, chociaż droga dłuży się w nieskończoność, a plecaki stają się coraz cięższe. Idziemy w kolejności, która ustaliła się jeszcze na podejściu. Wtedy jednak byliśmy bardziej skorzy do rozmów. Teraz górę bierze zmęczenie. Pierwszy zawsze jest Piotrek, który czasami spotyka się w drodze z Rafałem. Ja i Kamila wlecemy się na końcu i docieramy na biwak często dwie godziny po pierwszej dwójce. Do szybszego marszu może zmotywować nas tylko nadciągająca w dolinę burza.

Wielkim rozczarowaniem jest brak jedzenia, które można by kupić w Pampa de Lenas. Zmuszeni jesteśmy do wyproszenia makaronu, puszek i jogurtu od biwakujących tutaj turystów. Dlatego ostatni dzień marszu nie zapowiada się zbyt przyjemnie, zwłaszcza że od rana narasta trudny do zniesienia upał. Wszyscy jesteśmy wykończeni, ale najbardziej to fizyczne i psychiczne wyczerpanie daje się we znaki Kamili. Niesie prawie tak samo ciężki plecak jak ja i Rafał. W połowie dnia wyraźnie dochodzi do kresu swoich możliwości. Nie pomaga zimna woda, w której Piotrek i Rafał zażywają kąpiele. Nie pomagają też znalezione przyścieżce i ryzykownie zastosowane jako źródło jedzenia, owoce przypominające nasz zielony groszek, ani dwie kostki cukru, które ktoś jakby specjalnie zostawił na środku ścieżki.

Pomaga za to widok topoli. Te drzewa były ostatnim widokiem związanym z cywilizacją. To pod nimi przebiegały kanały melioracyjne doprowadzające wodę to poletek tutejszej wioski. Topo-



le są znakiem, że kończy się Dolina Vacas, która wydawała nam się bez końca. I nagle siły wracają. Nie tylko Kamili; mnie też przybywa energii. Takie chwile jak ta i tamta wcześniejsza, którą przeżyliśmy pod szczytem Aconcagua, są tajemnicą ludzkiej psychiki.

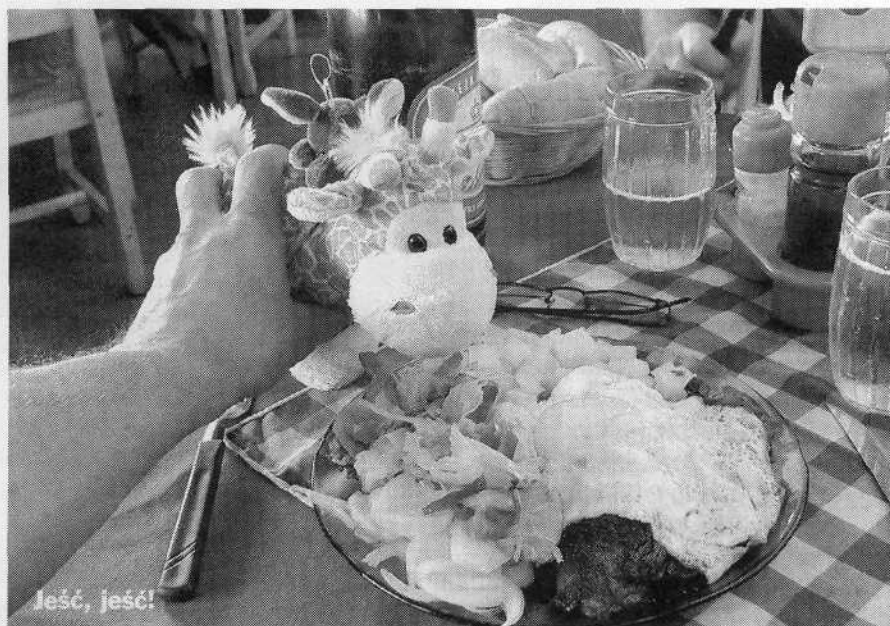
W jednym przydrożnym, obskurnym barze, w którym czekamy na autobus, Piotrek przyznaje, że bardzo bał się o nasze zejście tego ostatniego dnia. Jednak jedzenie i wypite piwo zaraz zmieniają perspektywę i zupełnie inaczej patrzymy na przeżycia, które jesz-

cze przed chwilą były naszym udziałem. Rozwiązują się nam języki. Kiedy słucham, wydaje mi się, że to historia kogoś innego. Odczuwam to tak, jakbyśmy obejrżeli przygodowy film albo przeczytali podróżniczą książkę.

Przyjeżdża autobus, który z andyjskich pustkowi zawiezie nas do czystego hotelu w Mendozie. Tam czeka na nas gorący prysznic, łóżko z prawdziwą pościelą i dużo, dużo... jedzenia.

C. D. N.

FOTOGRAFOWALI:
Paweł Krawczyk i Piotr Paprzycki



Jeść, jeść!